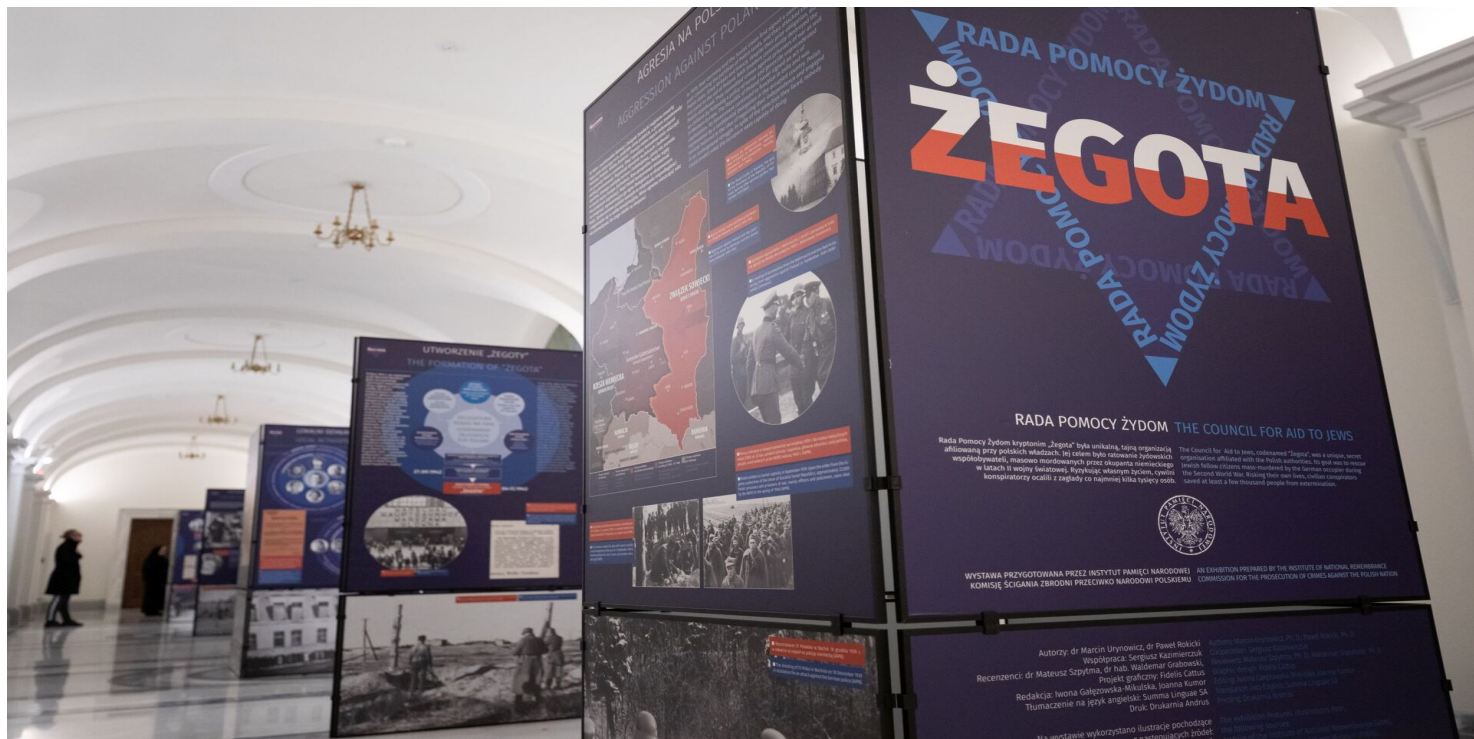


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/powstanie-warszawskie/129174,Magdalena-Grodzka-Guzkowska-Agentka-do-zleceń-specjalnych.html>



Prezentacja wystawy IPN „Żegota» – Rada Pomocy Żydom”, 2022 r. Fot. Mikołaj Bujak (IPN)

ARTYKUŁ

Magdalena Grodzka-Gużkowska. Agentka do zleceń specjalnych

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: SORAYA KUKLIŃSKA 12.10.2026

Żołnierz AK, uczestniczka Powstania Warszawskiego, współpracowniczka „Żegoty” i Sprawiedliwa wśród Narodów Świata. Chwilę swojego zaprzysiężenia w szeregach konspiracji wspominała: „Wówczas wypowiedziałam osobistą

wojnę Hitlerowi”.

„Wiem, że warto przeżyć życie, jeśli pomoże się choć jednej rodzinie, jednemu dziecku. Ja miałam to szczęście”.

Magdalena Grodzka-Gużkowska była osobą szanującą i ceniącą ludzi. Status majątkowy, czy wyznanie nie miały znaczenia. Liczył się człowiek. Pokazała to w życiu nie raz. Gdy wygrała przed wojną w tenisa z księżną Betty (przyszłą królową Elżbietą II) nie rozumiała o co tyle szumu. W czasie wojny, gdy płonęło getto warszawskie, zapytana przez ratowanego przez nią Żyda „co tam się pali?”, odpowiedziała „ludzie”. Był jej bardzo wdzięczny, ponieważ od innych słyszał, że „Żydzi”. Takich wartości nauczyli ją rodzice i dziadkowie.

Życie rodzinne

Urodziła się 7 stycznia 1925 r. Od najmłodszych lat wpajano jej szacunek do drugiego człowieka. Przodkowie Magdy byli profesorami na uniwersytetach i wojskowymi. Mimo że pochodzili z wyższych warstw społecznych i należeli do inteligencji, odnosili się z szacunkiem do służby i ludzi z niższych warstw. Służące i praczki stawały się przyjaciółkami i traktowano je jak członków rodziny. Rodzice Magdy łożyli pieniądze na naukę zawodu dla swoich służących, ponieważ uważali, że te nie mogą do końca życia usługiwać innym.

Jej babcia – Julia Rusinkowa – pomagała wszystkim potrzebującym. Sama, po tym jak jej mąż zginął w Rosji podczas rewolucji, wychowała i utrzymała siedmioro dzieci, robiąc na drutach pończochy. Przyjmowała bezdomnych na obiad, a gdy wnuczka pytała „czy się ich nie brzydzi?” odpowiadała, że owszem, ale „to też są ludzie”.

Matka Magdy – Janeczka – pracowała jako polonistka. Poza tym w 1932 r. obroniła doktorat z romanistyki na uniwersytecie w Grazu. Ojciec, Zygmunt, z kolei chodził do szkoły z Melchiorem Wańkowiczem i Jerzym Kuncewiczem, z którymi do końca życia się przyjaźnił. Od czasów szkolnych pod zaborami działał w konspiracji. Przez to często spóźniał się na lekcje, a usprawiedliwiał to pogrzebem ciotki. W końcu dyrektor stwierdził, że pochował ich już szesnaście, a jeśli umrze siedemnasta to „wyleci ze szkoły”.

Gdy studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, nocowali u niego wszyscy potrzebujący schronienia. Jednego razu był to Stanisław Cat Mackiewicz, który osobiście nie znał ojca. Gdy Zygmunt wrócił do domu, umył się i przebrał w świeżą bieliznę, Cat Mackiewicz, obserwując to, nie wytrzymał i stwierdził:

„Wszystko pięknie, ale to, że Zygmunt Rusinek użycza nam łóżka, żeby się przespać, nie znaczy, że można zabierać mu gacie”.

Tak się poznali. W momencie spotkania się rodziców Magdy, Zygmunt był „rozpolitykowanym” i „gołym” młodzieńcem, a Janeczka córką profesora uniwersyteckiego, jej wuj Józef Mehoffer – malarzem, ciotka – przeoryszą karmelitanek bosych, a brat ojca – rektorem Uniwersytetu we Lwowie. Mimo wszelkich przeciwności pobrali się i mieli dwie córki: Magdalenę i Marysię.

W obliczu wojny

Gdy wybuchła II wojna światowa, Magdalena miała 14 lat. Przebywała wtedy na rekonwalescencji w dworku w Rabie Wyżnej. Pod dom podjechał podporucznik i nakazał uciekać wszystkim mężczyznom do lasu. W budynku zostały kobiety z dziećmi. Najstarsza w dworku pani Zduniowa „włożyła najlepszą suknię [...], wpięła w nią broszkę, uczesała się bardzo starannie”.

Pod dwór podjechali Niemcy i zaczęli strzelać. Wtedy, opierając się na lasce ze srebrną gałką, wyszła na ganek i po niemiecku zapytała czy przyjechali do niej. W ten sposób wszystkich uratowała. Magdalena z mamą i siostrą natychmiast wyjechały do Warszawy.



Dwór Głowińskich w Rabie

Wyżnej, 2010 r. (fot. Wikimedia

Commons/Cracovia1906/Pjahr/CC

BY-SA 3.0)

Z okna pociągu oglądała płonące w oddali stogi siana i wydawały jej się czymś niezwykle pięknym. Później

zobaczyła kobietę odrzucającą z płomieni „gołymi rękami wielkie dechy, jakby to były zapalki”. Próbowwała ratować swoje dziecko. Matka Magdaleny wszędzie pomagała, opatrując rannych. Do Warszawy nie mogli dotrzeć, żaden pociąg nie kursował w tym kierunku. W końcu ich skład został zatrzymany przez niemieckich żołnierzy, a wszystkich pasażerów zagnano do Radymna. Tam pierwszy raz zetknęła się z brutalnym traktowaniem ludności żydowskiej – na starszych Żydach młodzi żołnierze jeździli jak na koniach i ich bili. Magda do końca swych dni nie mogła zrozumieć dlaczego to robili. W końcu udało im się dotrzeć do Krakowa do dziadków. Tam odnalazł je ojciec.

W zimie 1939 r. Magdalena przeprowadziła się do Raby Wyżnej i w styczniu 1940 r. wstąpiła do Dywizji Podhalańskiej w Konspiracji, pierwszej organizacji podziemnej na Podhalu. Zaprzysięgali ją Jan Głowiński i Ludwik Mayre. Magda miała wtedy 15 lat, więc starali się ją zniechęcić. Ostrzegali co zrobią Niemcy, jeśli zostanie aresztowana:

„Powiedzieli, że mogą mnie odskórować, torturować, a na końcu zabić. [...] Wówczas wypowiedziałam osobistą wojnę Hitlerowi. I od tego momentu byłam święcie przekonana, że nie przeżyję wojny. Dlatego, że oni mieli tylu drani i byli taką potęgą, że ja nie mogłam przeżyć”.

Była łączniczką, nosiła konspiracyjną prasę i powielacze, przeprowadzała do punktów kontaktowych ludzi przetrzucanych przez granicę, a także dzięki znajomości języka francuskiego i angielskiego, prowadziła nasłuch.

Swoje życie podsumowywała stwierdzeniem: „po prostu miałam szczęście”. Faktycznie towarzyszyło jej w licznych zdarzeniach. W styczniu 1940 r. dostała zadanie przewiezienia pociągiem powielacza. Wszystko szło dobrze dopóki do jej przedziału nie dosiadło się trzech niemieckich żołnierzy. Przez całą drogę konwersowali z Magdą po francusku. Jakież było zdziwienie obstawy czekającej na peronie, gdy z nimi wysiadła, a jeden z nich niósł walizkę z powielaczem. Odstawił ją do sań, a żołnierze pożegnali Magdę całując ją w rękę i stukając obcasami.

W organizacji był kapuś. Gdy rozpoczęły się aresztowania, Magda przedostała się do Warszawy. Wtedy też przekazała informację pojmanym, że mogą ją „wsypać”, aby uniknąć dalszych przesłuchań. Do maja 1942 r. uczyła się na tajnych kompletach i prowadziła 6. Drużynę Harcererek. Musiała również utrzymywać rodzinę. Ojciec wyjechał z kraju (na Węgrzech został aresztowany i trafił do obozu we Flossenburgu), a matka chorowała (była uzależniona od morfiny). Magda szybko nauczyła się piec torty na sprzedaż. Wkrótce matka przeszła rozległy wylew i zapadła w śpiączkę. Magda musiała podjąć wtedy jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu – pozwolić jej umrzeć.

Oddział 993/W i „Żegota”

W maju 1942 r. zaczęła się ukrywać przed Gestapo. Wielokrotnie na mieszkanie robiono naloty, aresztowano nawet siostrę i ciocię Magdy. Aby dać znać babci, że żyje, porozumiewały się telefonicznie za pomocą specjalnego kodu. Zdawała sobie sprawę, że jest spalona i żadna podziemna organizacja nie będzie mogła jej przyjąć. Dlatego bardzo ją zaskoczyła propozycja od tajnego oddziału 993/W¹, aby została agentką do zleceń specjalnych. Do zadań oddziału należało przeprowadzanie akcji zbrojnych (szczególnie likwidacyjnych – wykonywanie wyroków). Szefem wydziału był płk Antoni Iranek-Osmecki.

Przez cały czas Gestapo „deptało jej po piętach”. Nocowała u różnych znajomych, zmieniała tożsamość. Stale musiała się uczyć nowych nazwisk, ulic i miast. Pewnego razu dostała dokumenty na nazwisko Kasi Wiśniewskiej z Kalisza. Nie знаła nikogo z tego miasta, więc wymyśliła, że mieszkała na al. Piłsudskiego, mając nadzieję, że jest tam taka ulica. Trzecią i ostatnią jej tożsamością była Magdalena Zawadzka.

Mimo że sama się ukrywała, zdołała ocalić niejedno istnienie ludzkie. Gdy jej znajomego Żyda – Julka Liebfelda – aresztowano, Magda go uratowała. Gdy jako robotnik przymusowy w pasiaku pracował przy wygładzaniu terenu na Żoliborzu, podeszła do niego z kapeluszem i płaszczem, szybko pomogła mu się przebrać. Odeszli nieniekpokojeni, udając parę zakochanych.

Poza pracą w oddziale 993/W pomagała koleżance, Jadwidze Piotrowskiej, która należała do „Żegoty” (Rada Pomocy Żydom). Magda była jedną z osób, które „wystawiały na słońce” ukrywające się żydowskie dzieci. Jak sama wspominała, gdy te maluchy pojawiały się „takie szare na ulicy, wszyscy wiedzieli kim są”. Przewoziła je do nowych kryjówek i przynosiła jedzenie. Przede wszystkim zaś uczyła dzieci i dorosłych jak mają się zachowywać, aby nie dało się po rozpoznać ich żydowskiego pochodzenia. Pokazywała im jak mają się przeżegnać i uczyła różańca. Wspominała, że największy problem był z robieniem znaku krzyża – obojętnie – czy młodzi czy starzy – robili to powoli i z nabożeństwem. A potem:

„oczy się otwierają, widać w nich radość i oddanie. Żyd. [...] Każdy Niemiec przecież od razu pozna, że to Żyd. No to ja tłumaczyłam: machać ręką szybko, bez dotykania. Szast-prast”.

Na niektórych musiała krzyczeć, żeby zrozumieli. Od tego zależało ich życie.

Jednym z dzieci był pięcioletni Włodzio Bergl, którego przerzucono przez mur *Umschlagplatzu*. Zaopiekowali się nim państwo Magenheimowie, ale szybko ktoś na nich doniósł. Magdę wyznaczono do przewiezienia dziecka do nowego lokalu. Włodzio był „drobny, chudy i szary”, więc zabrała go nad Wisłę, żeby nabrał kolorów. Wracając trafili na łapankę. Wspominała:

„Znałam różne przejścia, złapałam go pod pachę i wpadliśmy do domu w ostatniej chwili. Włodziu był przerażony, trząsł się, usiadł mi na kolanach, tak wepchnął się we mnie, wtulił. Mówię: »Nie martw się, jesteśmy w domu«. A on na to: »Nie zostawiłaś mnie«. »Przecież ci powiedziałam, że cię nie zostawię«, odpowiadam. »Ale gdyby cię ze mną złapali, to wiesz, co by z tobą zrobili?«, zapytał. »To samo, co z tobą«, powiedziałam”.

Dwunastoletniemu Rysiowi na szybko potrzebne było schronienie. Magda z koleżankami przygotowały mu miejsce w szopie koło ulicy Powązkowskiej. Aby spędził noc bezpiecznie, musiały zamknąć ją na kłódkę. Pech chciał, że jednej nocy nastąpił nalot – pierwszy sowiecki atak na Warszawę (23 czerwca 1941 r.). Dziewczyny nie zmrużyły oka przerażone, że chłopiec oszaleje. Dziesięć po piątej rano (godzina policyjna kończyła się o 5) wszystkie stały się pod szopą. Przejęty Rysio od razu im opowiedział, jaka głośna burza przeszła w nocy.

16 stycznia 1943 r. razem z innymi pasażerami jednego z tramwajów w wyniku łapanki trafiła na Pawiak. Po kilku dniach wywieziono ją z Pawiaka na Dworzec Wschodni. Z otwartej budy wyrzucała zapisane ołówkiem kartki z informacją o swoich losach. W ten sposób babcia Rusinkowa dowiedziała się, że Magdę aresztowano. Załadowano ją do bydlęcego wagonu jadącego do Majdanka. Z transportu uciekła razem z poznaną na Pawiaku dziewczyną. Koleżankę zostawiła z jej ojcem, a sama ruszyła pieszo w kierunku Warszawy. W Otwocku pomogła jej jedna z kasjerek na dworcu. Szczęśliwie dotarła do stolicy.



Pomnik Drzewa Pawiackiego obok

Muzeum Więzienia Pawiak, 2021

r. (fot. IPN)

Do wybuchu Powstania Warszawskiego dalej działała w 993/W i pomagała w „Żegocie”. W oddziale jej zadaniem była inwigilacja i wskazanie skazanego delikwenta. Lucjan Wiśniewski „Sęp” opowiadał:

„Wywiadowczynie »namierzały cel«. Te dwa słowa w praktyce oznaczały godziny, dni i tygodnie wystawiania pod domami »delikwentów«, permanentne granie jakiejś roli. [...] I ciężka fizycznie praca: to dziewczyny przynosiły na miejsce zbiórki karabiny i pistolety, granaty i pełne magazynki. To one odnosiły po akcji rozgrzaną broń, a często holowały »stygnących« uczestników akcji. To one w końcu ryzykowały wpadkę czy rewizję, odwożąc dokumenty chłopaków. Czasami strzelały”.

Magda tak mówiła o swoich zadaniach:

„Zajmowaliśmy się niedostrzelonymi. [...] Nieostrzeleni to byli ludzie, na których podziemie wydało już wyrok śmierci, ale nie można ich było dorwać. My zajmowaliśmy się ich odnajdywaniem. Ja nie wykonałam żadnej likwidacji, natomiast pokazywałam ich palcem”.

Poza tym uczestniczyła w wykonywaniu wyroków. Nie pociągała za spust, ale zawsze miała pistolet – gdyby kolega się zawahał.

Likwidacja nie zawsze przebiegała zgodnie z planem. W przypadku żebraka – konfidenta współpracującego z Gestapo – ustalono, że tam, gdzie zaczynał żebrać, szybko podjeżdżała buda i rozpoczynały się aresztowania. Gdy zauważył Magdę i jej kolegów z oddziału, „stał się cud: kaleka bez nogi nagle ozdrowiał i pognał jak zając na obu nogach”. Gonili go przez całe miasto i dopadli na Pradze w noclegowni dla najbiedniejszych – Annopolu.

Innym razem, obserwując dom skazanego, zorientowała się, że nie jest sama. Po drugiej stronie ulicy stał garbus, który był groźnym tajnym agentem Gestapo. W końcu podszedł do Magdy, stwierdzając, że skoro robią to samo, a jest zimno i „tu jest kawiarenka, to może na zmianę będziemy chodzić na gorącą herbatę?”.

Magdalena wspominała, że dwa wydarzenia z okupacji pozostawiły w niej głęboki ślad. Pierwszym była decyzja, aby pozwolić spokojnie umrzeć mamie. Drugie miało związek z pracą dla „Żegoty”. Do znajomej przyszła Żydówka – zdołała z sześciolatnim synkiem, Adasiem, wydostać się z getta zaraz po upadku powstania. W dzielnicy Bernerowo wykopała jamę „i ukryła w niej zagłodzonego, prawie bezwładnego dzieciaka. A sama poszła żebrać i szukać pomocy. Gdy wróciła, jej synek leżał cały poparzony, ogień tlił się jeszcze na szczątkach ubranka”.

Błagała o ratunek dla malucha. Magda od razu zorganizowała pomoc. Skontaktowała się z ukrywającym się Julkiem Liebfeldem, który był chirurgiem.

Zabrała dziecko od matki.

„Został z niego właściwie szkielet, ma ropną wszawicę. Prawie się nie porusza. Wygląda jak zasuszony. Tylko wszy się poruszają na głowie. Jest cały poparzony. Na nogach nie ma skóry. [...] Mam osiemnaście lat i widziałam już sporo okropności, ale takiej tragedii nigdy. [...] Zawijam Adasia w koc i jak paczkę obwiązuję sznurkiem. [...] W tramwaju jest słabe oświetlenie i mało ludzi. Stawiam pakunek z Adasiem przy sobie. Bardzo się boję, że wszy wyjdą, że koc ich nie powstrzyma. [...] Julek patrzy na Adasia. Nie widzę w jego oczach żadnej nadziei”.

Magda poprosiła go, aby ratował małego, jeśli jest chociaż procent szansy, że dziecko przeżyje. Po założeniu opatrunków i całonocnym czuwaniu udało się umieścić Adasia w Szpitalu Maltańskim. Po dobie musieli go zabrać – do szpitala miało wejść Gestapo.

„Zabieramy Adasia, przewozimy zawiniętego w koc na Tłomackie [ukrywało się tam kilku Żydów]. Chowamy do szafy, do jednej z szuflad. Zamykamy. Zostawiamy tylko szparkę, żeby mógł oddychać. Nic nie mówimy Prababci. Nikt w Hotelu za Kotarami [tak nazywano to miejsce; inna nazwa „Opatrzność Boska”] nic nie wie, za bardzo by się przestraszyli”.

Ostatecznie udało się umieścić Adasia w szpitalu sióstr ewangeliczek na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej. Mimo wszelkich starań dziecko nie przeżyło, zmarło na niewydolność krążenia. „W czystym, ciepłym łóżeczku, otoczony życzliwymi ludźmi. A nie przez komin, nie spalony w jamie”. Magda musiała szybko zabrać zwłoki. Tylko niemiecki lekarz mógł wystawić akt zgonu, a gdyby znalazł obrzezane dziecko w kostnicy, to zarówno siostry, jak i pacjenci zostaliby rozstrzelani.

Magda uparła się, że zajmie się Adasiem do końca i go pochowa. Mimo olbrzymiego ryzyka z pomocą Romka Grodzkiego, jej narzeczonego (również z konspiracji) wiozła tramwajem zwłoki w worku. Trafili na łapankę.

„Patrzę na tramwaj. Dwóch Niemców właśnie wywleka worek z wagonu. Potrząsają nim i śmieją się. [...] Pewno myślą, że to rąbanka, mięso. Jeden z nich wyciąga bagnet i przecina sznurek. Ze środka wysuwa się Adaś, główką do przodu. [...] Niemcy zamierają z przerażenia. Jeszcze nie widzieli Żyda o tak »złym wyglądzie«. Oficer coś krzyczy, żołnierze w panice wskakują na ciężarówkę i odjeżdżają pośpiesznie. Uciekają. Ludzie też. Ja tak samo. [...] Potem dowiedziałam się, że uratowani przez Adasia ludzie pochowali

go blisko tego płotu. Nigdy tam nie byłam”.

Oddział 993/W z rozkazu Iranka-Osmeckiego przeprowadził śledztwo w sprawie Adasia. Szybko odnaleziono dwóch bandytów, którzy go podpalili. Obaj zostali zlikwidowani, a wyrok wydano dopiero później.

W Powstaniu Warszawskim

W sierpniu 1944 r. wybuchło powstanie, a Magda została łączniczką Iranka-Osmeckiego w Komendzie Głównej. Od 6 sierpnia była, w stopniu strzelca, w 3. Plutonie 8. Kompanii Batalionu „Kiliński”, którym dowodził por. Antoni Bieniaszewski. Wybuch powstania wspominała negatywnie – razem z kolegami z oddziału zdawali sobie sprawę, że ma małe szanse powodzenia. Magdę w ostatnich dniach lipca wysłano na Pragę w celu sprawdzenia czy pojawiły się rosyjskie czołgi. Czołgów nie było. Za to zaobserwowała, że Niemcy umacniają się na Wiśle. Wszystkie te informacje przekazała dowódcy.

Z pierwszych dni powstania zapamiętała przede wszystkim olbrzymi chaos – ludzie nie mogli przedostać się do swoich oddziałów i nikt nie miał pewności co do panującej sytuacji. Mówiła również:

„Opaski biało-czerwone i malowanie polskich barw na hełmach było szaleństwem – dla Niemców stanowiły doskonale widoczny cel. Nasza grupa nigdy nie nosiła ani na rękach, ani na hełmach biało-czerwonych oznak. Chłopcy mieli mundury niemieckie, a ja granatowy kombinezon”.

W powstaniu walczyła ramię w ramię z kolegami jako strzelec. Gdy dowódca jej grupy został ranny, przejęła dowodzenie. Posiadając broń i amunicję, cały czas byli na pierwszej linii. Wtedy też po raz pierwszy strzelała do ludzi.

„Najważniejsze, żeby złapać na muszkę faceta, który chce nam umknąć. Byliśmy trenowani w Lasach Kabackich przez znakomitego instruktora, który się zawziął. Bo ja byłam jedyną dziewczyną. A on uważał, że baby powinny w chałupie siedzieć, prać gacie chłopom i gotować obiad”.

Magda wspominała, że pierwsze powstańcze piosenki usłyszała dopiero w niewoli – w Warszawie nie mieli czasu i siły, żeby śpiewać. Za osiągnięcia miała zostać odznaczona Krzyżem Walecznych, jednak wniosek

prawdopodobnie przepadł w toku powstańczych walk. 2 października ponownie złożono wniosek o przyznanie Krzyża dla „strzelców [...] za wyczyny bojowe w czasie służby w batalionie Kilińskiego /komp.8/ na odcinku Al. Sikorskiego, ul. Górskiego i ul. Nowy Świat”. Magda, we wspomnieniach nie podaje, aby otrzymała to odznaczenie. Niewykluczone, że nigdy nie zrealizowano tego wniosku.

W wywiadzie dla Tygodnika „Przekrój” o swoich doświadczeniach strzeleckich i zabijaniu w czasie powstania mówiła:

„Nic się nie czuje. O niczym się nie myśli. Bo jakby się człowiek zaczął zastanawiać, to by nie mógł się skupić na strzelaniu”.

W pamięci utkwiło jej dwóch Niemców, których zastrzeliła:

„Pierwszego, gdy Niemcy puścili na nas dym i chłopcy zgłupieli. Przestali nagle strzelać. [...] On wyszedł wtedy z dymu i posuwał się do nas. Był w hełmie i mundurze. To pamiętam bardzo dobrze, ale nie widziałam jego twarzy. Zastrzeliłam tego Niemca. I powiedziałam chłopakom: teraz wy pilnujcie”.

Drugi „był snajper. Siedział na budynku Banku Gospodarki Krajowej, w miejscu dzisiejszej Giełdy, przy rondzie de Gaulle’a. [...] Strzelał bardzo dobrze i bardzo celnie. Trzeba było go zdjąć i udało mi się”.

Na ul. Widok znajdowały się kwatery, a stanowiska w Alejach Jerozolimskich. Jej oddział strzegł przejścia prowadzącego w Al. Jerozolimskie. Co ciekawe, za jedyny swój bohaterski wyczyn, zarówno z okresu okupacji, jak i Powstania Warszawskiego, uważała ocalenie żołnierza niemieckiego z SS-*Sonderkommando* „Dirlewanger”. Opowiadała, że jej „grupa miała strzec przejścia sztabu ze Złotej na Piękną. Mały odcinek od Wareckiej do Widok. [...] Stałam na warcie z Leszkiem Zbyszyńskim, ps. Zbyszek, gdy zauważyliśmy jakąś postać. [...] Tamten najwidoczniej się zgubił, zawołał *Kammerad*, a Leszek odpowiedział mu coś po niemiecku. [...] Leszek postrzelił szkopa w nogę. Niemiec nie dostał mocno i chłopcy chcieli go zabić, a wtedy ja odbezpieczyłam broń, zwracając ją w kierunku moich przyjaciół. [...] Powiedziałam: »Nie tą samą metodą! Rannych nie dobijamy«”.

Po kapitulacji wyszła z miasta ze swoim oddziałem. Dowódca wspominał, że do Ożarowa szli pieszo. Pod pomnikiem Sapera na rogu Nowowiejskiej i Niepodległości oddawali broń. Kompania Bieniaszewskiego wychodziła 9 października, ponieważ wyznaczono ich jako kompanię osłonową. Dla Magdy największymi bohaterami powstania „byli cywile, którzy na czas powstania przenieśli się do piwnic. Oni się tam rodzili i umierali w strasznych warunkach. Nie mając co jeść, nie mając co pić. [...] Ci ludzie mieli prawo nas

autentycznie nienawidzić [...]. Dlatego uważam, że byli to niebywale wytrwali i niezwykle dzielni ludzie”.

Większość podróży zafundował mi Hitler

Magda opowiadała:

„Potem podróżowałam. Większość podróży zafundował mi Hitler. Od października 1944 do 13 kwietnia 1945 roku sześć obozów i długi marsz”.

Z Ożarowa wywieziono ją do obozu w Lamsdorf (Łambinowice). Tam otrzymała awans na podporucznika czasu wojny. Następnie trafiła do Mülbergu, gdzie spotkała kolegę z czasów konspiracji na Podhalu. Chcąc jej pomóc zapytał czy czegoś potrzebuje. Poprosiła „o długie ciepłe gacie, bo było już zimno. Przerzucił te gacie przez druty – rozwinęły się jak flaga”. Później wszyscy jeńcy z męskiego obozu, w różnych językach, pytali, czy już jest jej ciepło.

Z Mülbergu przewieziono ją do Altenburgu, później do Molsdorfu koło Erfurtu. W Molsdorfie niespodziewanie spotkała garbusa z Gestapo. Wiedział, że już ją widział, ale nie zdołał skojarzyć gdzie. To ją uratowało. Stamtąd pognano ją do Blankenheim. W połowie kwietnia 1945 r. obóz jeniecki w Blankenheim wyzwoliła armia Pattona. W dokumencie wystawionym przez Amerykanów napisano: „zdolna do transportu, wolna od insektów, waga 28 kg”. Wtedy też, dzięki znajomości angielskiego, została tłumaczką gen. Georga Pattona.

Po zakończeniu wojny większość jej znajomych nie wiedziała co dalej począć. Ciężko było im się odnaleźć w nowej, powojennej rzeczywistości. Magda zdecydowała się jechać do obozu w Murnau po narzeczonego, a stamtąd wyruszyli do Włoch. W maju 1946 r. we Włoszech odnalazła ojca. Później wszyscy troje przenieśli się do Wielkiej Brytanii. 15 stycznia 1947 r. wyszła za Romka. Po urodzeniu dwójki dzieci, rodzina Magdy przeprowadziła się do Kanady. Po rozstaniu z Romkiem, związała się z Krzysztofem Gużkowskim.

Do Polski pojechała na miesiąc, po raz pierwszy od końca wojny, w styczniu 1971 r. Trzy lata później zdecydowali się z Krzysztofem wrócić na stałe do kraju. Przez przypadek zaczęła pracować z dziećmi autystycznymi i została terapeutką.

Kilka lat przed śmiercią skontaktował się z Magdą, wożony przez nią nad Wisłę, aby się opalił, Włodzio Bergl. Okazało się, że w 1943 r. przetransportowano go do katolickiego sierocińca pod Warszawą, gdzie doczekał końca wojny. Tam odnalazła go matka, która przeżyła w obozach koncentracyjnych. Jego ojciec także ocalał i w trójkę po wojnie wyjechali do Stanów Zjednoczonych. To on wiele lat po wojnie, już jako Wiliam Donat, wystąpił do Yad Vashem o nadanie Magdzie tytułu Sprawiedliwej Wśród Narodów Świata. Uhonorowano ją nim

w styczniu 2008 r.



**Obelisk upamiętniający
Magdalenę Grodzką-Gużkowską w
Ogrodzie Sprawiedliwych w
Warszawie, 2014 r. (fot.
Wikimedia Commons/Mateusz
Opasiński - Praca własna/CC BY-
SA 3.0)**



**Grób Magdaleny Grodzkiej-
Gużkowskiej na Cmentarzu
żydowskim przy ul. Okopowej w
Warszawie, 2014 r. (fot.
Wikimedia Commons/Mateusz**

W październiku 2008 r. odznaczono ją Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Trzy lata później otrzymała nagrodę im. Ireny Sendlerowej. Co ciekawe, dopiero wiele lat po wojnie, gdy wszczęto procedurę nadania jej tytułu Sprawiedliwej, dowiedziała się, że ma żydowskie korzenie po prababci ze strony matki.

Magdalena Grodzka-Gużkowska zmarła 6 stycznia 2014 r. Pochowano ją na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej w Warszawie. 5 czerwca tego samego roku w warszawskim Ogrodzie Sprawiedliwych odsłonięto kamień upamiętniający jej dokonania i posadzono drzewko pamięci.

¹ W ostatnich miesiącach 1941 r. Kontrwywiad Komendy Głównej ZWZ powołał do życia oddział bojowy o kryptonimie „Wapiennik”. Jego celem była m.in. likwidacja wrogich agentów, którzy na krótko przybyli do Warszawy, ewakuacja zagrożonego lokalu, osłona spotkania. Dowódcą został por. „Leszek”-„Twardy”, jego zastępcą – pchor. „De Vran”-„Naprawa”, czyli Tadeusz Towarnicki. Jesienią 1942 r. oddział zaczęto rozbudowywać. Po zmianie kryptonimu na „993/W” (993-Wykonawczy) oddział liczył ok. 30 ludzi. Zob. więcej: T. Strzembosz, *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939-1944*, Warszawa 1983, s. 82-83.

COFNIJ SIĘ